j

[Ta lektura,](http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/legendy-warszawskie-bazyliszek) podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie [wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl/).

Utwór opracowany został w ramach projektu [Wolne Lektury](http://www.wolnelektury.pl/) przez [fundację Nowoczesna Polska.](http://nowoczesnapolska.org.pl/)

ARTUR OPPMAN

# Bazyliszek

## W KUŹNI PŁATNERZA[[1]](#footnote-1)

|  |  |
| --- | --- |
| W kuźni płatnerskie imć pana Melchiora Ostrogi robota wrzała aż miło. Czelaǳie pracowali nad wykończeniem przepysznej zbroi rycerskiej dla Jego Miłości pana kasztelana płockiego, a dwóch chłopaków dęło w wielkie miechy, podsycając ognisko w ogromnym kominie. W płomieniach purpurowych i złotych tego ognia sam we własnej osobie imć pan Melchior Ostroga, świetny mistrz sławetnego płatnerskiego cechu, trzymał w cęgach potężnych sztabę żelazną, aby ją za chwilę na miecz na kowadle przekować.Miecz ten, wraz z pancerzem, z hełmem, z naramiennikami i nagolennikami stanowił właśnie całkowity rynsztunek bojowy, po który pan kasztelan miał ǳiś lub jutro przyjechać.A cudnaż to była zbroica! Z najprzedniejszej stali, wypolerowanej jak zwierciadło, pokryta nabijaniami ze szczerego srebra, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, prześlicznie w złocie wyimaginowanym, i z krzyżem husarskim na kołnierzu.Miało to być prawǳiwe arcyǳieło przesławnej sztuki płatnerskiej, i nie pomału chlubił się nim już z góry mistrz Melchior. | Praca |
| W kąciku kuźni, za wielką kupą żelastwa, bawiło się dwoje ǳieci: czarnowłosy chłopczyk i złocistoloka ǳiewczynka. Było to roǳeństwo, ǳiatwa imć pana Ostrogi. Chłopczyk, jako to chłopczyk, rycerską znalazł sobie igraszkę: z kawałka cienkiego żelaza szablę krzywą, niby to turecką, uczynił i w fechty jął się wprawiać, jak żołnierz. Ale ǳiewczynka, zapatrzona z początku w szermierkę braciszka, znuǳiła się niezadługo, boć co tam panienkę wojowanie obchoǳi.— Maćku! — zawołała na brata. — Chodźmy już stąd na Rynek; w Rynku tak wesoło i gwarno, słoneczko świeci; pobiegamy, przyjrzymy się kramom[[2]](#footnote-2) i towarom.— Czeka – no, Halszko, jeszcze ano kilka cięć krzyżową sztuką przypomnę i pójdę z tobą, kiedy chcesz koniecznie; choć mnie i w kuźni dobrze: tyle tu ciekawych rzeczy:kopii[[3]](#footnote-3), kolczug⁴, bułatów⁵.Machnął raz i drugi szabelką, cisnął ją na ziemię i zabierali się ku wyjściu.Spostrzegł wychoǳące ǳieci mistrz Ostroga i przywołał je do siebie.— A gǳie to, malcy?— Na Rynek, tatuńciu.— A po co?— Popatrzeć, pobiegać, światu Bożemu się przyjrzeć.— Zgoda. Ale uważajcie na siebie i na obiad się nie spóźnijcie do matki. I jeszcze jedno: niech was ręka Boska broni choǳić na Krzywe Koło do zburzonego domostwa. Niedobre sprawy się tam ǳieją. Coś straszy, coś jęczy. Jeszcze by was, strzeż Panienko Najświętsza, złe porwało! | ǲiecko |

— Ja się niczego nie boję, tatuńciu! — zuchowato zawołał Maciek.

— A ja się wszystkiego boję, tatuńciu! — zapiszczała cieniutko Halszka. — I nie pójǳiemy!

— No, to bądźcie mi zdrowe, ǳieciaki!

## NA STARYM RYNKU

|  |  |
| --- | --- |
| Na Rynku wrzask i harmider. Tłum w barwnych ubiorach krąży dokoła Ratusza, który dumnie wznosi się pośrodku placu. W Ratuszu na dole kramnice bogate, dostanie w nich, czego dusza zapragnie. Tu sklepy ormiańskie z tkaninami tureckimi, haowanymi złotem i srebrem, z dywanami perskimi i indyjskimi szalami; tam Szkot suknem i płótnem zamorskim handluje; ówǳie poważny Turek z długą brodą i z cybuchem⁶ w ustach zasiadł za ladą, na które figi, daktyle, roǳynki, bakalie przeróżne stosami się piętrzą, aż ślinka iǳie, a jeszcze gǳie inǳiej Niemiec, czy Holender zabawki ma takie, łątki, czyli lalki, koniki, pieski, piłki, że aż oczy bolą patrzeć i chciałoby się mieć to wszystko na własność.Maciuś i Halszka przewijają się wśród luǳkiej gromady zręcznie i szybko, jak dwa piskorze⁷; sami nie wieǳą, na co spojrzeć. I to wabi, i to nęci. Wszęǳie jest tyle piękności, że można by rok chyba cały po Rynku wędrować i jeszcze by się wszystkiego nie zobaczyło. | Miasto, Tłum |
| Aż ci tu nagle zahuczy bębenek, zaświszczy piszczałka, talerze blaszane zadźwięczą. Co to takiego? A to Cygan, czarnokudły, ciemny na gębie, uczonego niedźwieǳia na łańcuchu prowaǳi. Cóż to za niedźwiedź! Boże miły! Wszystko umie, wszystko rozumie. Gada ci Cygan do niego jakimsiś łamanym językiem, z kiepska po węgiersku, a ten robi, co mu każą, ani się namyśli.— Miszka! Ukłoń się ładnie wielmożnym państwu!Niedźwiedź się kłania.— Miszka! Jak stare baby wodę z rzeki noszą?Niedźwiedź dwa wiadra na drągu na plecy bierze i lezie taczając się z boku na bok, jak pijany.— Miszka! Jak młode panienki na weselu tańcują?I niedźwiedź nuż w podrygi, a w łamańce. Boki zrywać ze śmiechu!Gdy się tak Maciek i Halszka zwierzowi mądremu przypatrują, z nagła ktoś im ręce na oczach położył i ciekawy widok zasłonił.— Zgadnijcie, kto to taki? — ozwał się głosik rzeźwy, wesoły, radosny.— Waluś! Waluś! — ucieszyło się roǳeństwo. — Poznaliśmy cię od razu po głosie!Ale odsłoń – no już nam oczy i spozieramy razem na niedźwieǳia. | Teatr |
| Odwrócili główki: jakoż był to w istocie Waluś Klepka, synek ǳiesięciolatek imć pana Pietra Klepki, bednarza⁸ z Zapiecka.Waluś, dawny ich znajomy, miły i zabawny chłopczyk, jedną wielką miał wadę: urwis był z niego okrutny. Psocił i broił co niemiara; rady sobie z nim roǳice dać nie mogli. Obiecywał poprawę, przyrzekał posłuszeństwo, ale gǳie tam! Za parę dni — co dni! — za kilka goǳin znów jakąś sztukę wypłatał. Niewytrzymanie luǳkie z takim wiercipiętą!Niedźwiedź odprawił swoje widowisko, Cygan do czapki sporą kupkę nazbierał szelągów⁹, pomięǳy którymi gǳie iegǳie i srebrny grosz zabłysnął — i ruszyli dalej .A ruszyli właśnie, jak na nieszczęście, w stronę Krzywego Koła.Trójka malców powlokła się za gromadą, ale, gdy przechoǳili koło zwalisk odwiecznego domostwa, o którym płatnerz wspominał, Waluś zatrzymał Maćka i Halszkę.— Poczekajcie — szepnął tajemniczo — coś wam powiem, coś pokażę.— No co? No co? — zaciekawiły się ǳieci.— Oto to, żebyśmy zeszli po tych schodach, co wiǳicie, do piwnic starego domu.— Co ty gadasz, Walusiu? — zawołała Halszka. — Jakże to można, choćby żartem, mówić o tym. Toć–że tam straszy! Tatuś powiadali.— Ehe! Straszy, straszy… Bajki ze strachami! A ja wam mówię, że tam są skarby zaklęte. Zazierałem w piwnicę wczoraj w południe, to powiadam wam, coś tak błyszczało, | ǲiecko |

⁶*y* — część fa ki łącząca ustnik z główką, w ktore zna du e się tytoń. [przypis edytorski]

 ⁷ *isk z* — ryba słodkowodna o zwinnym ciele. [przypis edytorski]

 ⁸ *e a z* — rzemieślnik wyrabia ący różne naczynia z drewna, w tym np. beczki. [przypis edytorski]

 ⁹*szel* — srebrna moneta, która w XIV wieku była bita i wprowaǳonaprzez Krzyżaków.[przypisedytorski]



gdy słonko zajrzało do wnętrza, że aż mnie oczy zabolały. Ani chybi: złoto![[4]](#footnote-4)

Maciek się zastanowił.

— A może by znijść¹⁰ na chwilę, a skarby matusi i tatuńciowi przynieść. Tożby się ucieszyli! Jak myślisz, Halszko?

— Ja nie znijdę! — rezolutnie zakrzyknęła Halszka. — Nie znijdę za nic na świecie!

— Och, ty mały tchórzu! — zaśmiał się Waluś. — Nie schodź sobie, jeśli nie chcesz! My dwa pójǳiemy, prawda, Maciusiu?

I posunął się ku schodom, widniejącym z ulicy, a Maciek, że to był chłopak odważny i śmiały, za nim.

— Kiedy tak — na wpół z płaczem zawołała Halszka — to i ja pójdę; nie opuszczę cię przecież, braciszku! Niech się ǳieje wola Boska!

— I nie pożałujesz, Halszko, pełny fartuszek dukatów[[5]](#footnote-5) ci nasypię. A teraz — schodźmy do piwnic!

I poszli.

## W LOCHACH ZWALISKA

Schody były drewniane, połamane i zepsute, a niektórych stopni brakło już zupełnie, tak, że trzeba było często skakać ze stopnia na stopień, pomijając otwiera jące się pomięǳy nimi luki. Dość uciążliwa była to droga, zwłaszcza, iż zaraz niedaleko od wnijścia[[6]](#footnote-6)załamywały się schody i ciemność ogarnęła Walka, Maćka i Halszkę.

Wprawǳie niewielkie światełko migotało w oddali: było to zapewne okienko piwniczne, wychoǳące na Brzozową, bo tyły domów z Krzywego Koła na tę właśnie ulicę miały widok, ale światełko to było dalekie i niepewne, ile że okienko musiało być brudne i pajęczyną zasnute.

Waluś szedł przodem, o kilka kroków przed roǳeństwem; dobre był myśli i podśpiewywał sobie wesoło, nie przeczuwał biedaczek, co go spotka za chwilę.

Tak idąc ostrożnie i pomału, zeszli nareszcie do lochu i znaleźli się w wielkiej, sklepionej piwnicy. Pod ścianami stały rozmaite rupiecie: stare okna, futryny, drzwi i różne nieużyteczne graty. Po prawej stronie piwnicy widać było, uchyloną nieco, żelazem okutą furtkę od dalszych zapewne lochów.

— Maćku, Halszko! — rzekł Waluś, a głos jego ǳiwnie ponuro rozbrzmiał w głę- Śmierć bokościach poǳiemia. — Kiedyśmy tu już zeszli, to idźmy–ż i dalej, spenetrujmy całe zwaliska, a skarb znajǳie się na pewno.

— Walusiu, mój Walusiu! Proszę cię, chodźmy już na górę — rzewliwie zawołała Halszka. — Co nam po skarbach! Wróćmy! Ja się czegoś lękam okropnie.

— I ja bym raǳił wrócić — poważnie rzekł Maciek. — Dalszej drogi nie znamy; kto wie, co może być za tą furtą? Roǳice i nasi, i twoi niespokojni będą. Czemuż ich martwić?

— A ja jednak pójdę i wy pójǳiecie ze mną! — krzyknął zapalczywie Waluś. — Co mi tam wszystkie bajdy o strachach! O! Raz, dwa, trzy! Już idę!

I powieǳiawszy to, podbiegł do furty zamczystej, szarpnął ją, otworzył — i nagle, jak piorunem rażony, runął na ziemię, jak długi.

Co to się stało?

Z otwartej czeluści drugiej piwnicy buchnęło zgnilizną i w zielonawym świetle, przypominającym blask świętojańskich robaczków, Maciek i Halszka ujrzeli okropnego potworka. Był to niby kogut, niby wąż. Głowę miał kogucią z ogromnym purpurowym grzebieniem w kształcie korony, szyję długą i cienką, wężową, kadłub pękaty, nastroszonymi czarnymi piórami pokryty, i nogi kosmate, wysokie, zakończone łapami o ostrych olbrzymich pazurach.

Ale najstraszniejsze były oczy potwora: wyłupiaste, okrągłe, do sowich ślepiów podobne, jarzące się to czerwono, to żółto; oczy te, na szczęście, nie wiǳiały Maćka i Halszki, utkwiła je bowiem poczwara w ciało leżącego na ziemi i nieżywego już biednego Walusia.

— Bazyliszek! — szepnął drżącym głosem Maciek. — To bazyliszek, siostrzyczko; schowajmy się, schowajmy czym pręǳej !

I po cichutku, po cichutku, trzymając się za ręce, ǳieci na paluszkach posunęły się ku ścianie i wślizgnęły się za wielkie drzwi o mur prastary oparte.

 W tym ukryciu, bezpiecznym na razie, Maciek począł szeptać siostrzyczce do uszka: Brat, Siostra

— To bazyliszek! Słyszałem o nim od tatuńcia. Sroga to stwora! Na kogo spoj rzy — wzrokiem zabije! Tak zabił Walusia. Stójmy tu cicho, Halszko, stójmy cichutko…

— Boże, mój Boże! — załkała Halszka. — Co to bęǳie? Co się z nami stanie? Po cośmy tu przyszli? Po cośmy tu przyszli? Ja chcę do domu!

— Uspokój się, siostrzyczko — szeptał Maciek — wrócimy do domu, jeśli Bóg pozwoli; ale teraz choǳi o to, żeby nas bazyliszek nie spostrzegł, bo jak zobaczy i spojrzy na nas — wszystko przepadło: umrzemy!

— Maćkuuuu! Maaaćku! Halszko! Halusiu! — rozległo się nawoływanie z ulicy — Maaaćku! Haaalszko! Gǳież wy jesteście? Obiad gotowy! Obiad gotowy!

Przerażone ǳieci poznały głos Agaty, ale się odezwać nie śmiały.

Bazyliszek odwrócił łeb grzebieniasty, jeszcze straszliwiej najeżył pióra i jaskrawymi ślepiami spojrzał w stronę schodów.

Na schodach stanęła stara Agata, a za nią, w ulicy, widać było gromadkę mieszczanek i mieszczan.

— Tu zeszły, tu zeszły na pewno — ozwały się głosy na górze — musiały się zabłąkać w poǳiemiach; nie schodźta, Agato, bo was jeszcze akie licho zadusi!

Ale Agata, poczciwa stara służąca, już schoǳiła do lochu — i oto zaledwie zeszła na dół, zabrzmiał jej okrzyk, okropną trwogą wezbrany, i głucha, posępna cisza zaległa znowu piwnicę.

To płomienisty wzrok bazyliszka uderzył w nieszczęsną i trupem ją na miejscu położył.

Gromadka sprzed schodów pierzchnęła¹³ w Rynek i w przyległe uliczki, roznosząc wieść okropną na miasto. Skamieniałe z przerażenia roǳeństwo przytuliło się do wilgotnego muru, trzymając się konwulsy nie za rączki, a bazyliszek rad ze zniszczenia, jakie uczynił, począł się przechaǳać po lochu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wydostać się z piwnicy nie było sposobu!…

## U CZAROWNIKA

— Pani Ostrożyno! Pani Ostrożyno! ǲieci wam przepadły! ǲieci wam w lochach zginęły!

— Jezusie! Maryjo! Co takiego! Co wy mówicie, luǳie? Gǳie? Jak? Gadacie!

— Ano, polazły do piwnic na Krzywym Kole i, musi, bies¹⁴ im główki ukręcił, niebożętom!

— Chrystusie cudowny u Fary! Ratuj! Wspomagaj! — Skądże wy wiecie to wszystko?

— Wiǳieli szewczyki z przeciwka, jak ǳieci z Walkiem od Klepki schoǳiły w podziemia, a potem wasza Agata wołała je, wołała, aż zeszła do piwnic — krzyknęła okropnie — i już nie wyszła! Słyszeliśmy!

— Agatę ja posłałam, bo ǳieci nie wracały. Boże wielkiego miłosierǳia, bądź miłościw mnie grzesznej! Co ja tu pocznę, nieszczęsna⁈

W przedsieniu uczynił się rumor i przeǳierając się przez ciżbę wpadł do alkierza Matka, Ojciec mistrz Melchior. Blady był płatnerz i drżący, bo już dowieǳiał się był¹⁵ w kuźni

 o srogim ciosie, jaki go ugoǳił. A Maćka i Halszkę miłował ponad wszystko,

ponad życie własne!

— Co robić, Melchiorze, co robić? — biadała Ostrożyna. — Ratujmyż nasze maleństwa kochane! Ślubuję Ci, Panie Jezu, srebrne serce złocone pod Twoje nóżki najświętsze, jeno dopomóż nam w tym strapieniu!

Z gromady wysunął się sęǳiwy rajca¹⁶ miejski, imć pan Ezechiel Strubicz, mąż mądry i stateczny, znany całej Warszawie z dobroci i z przywiązania do ǳiatwy staromiejskiej.

— Co robić? — powtórzył. — Ja wam poraǳę, co robić: walcie, jak w dym do czarownika na Piwną. Któż jak nie on lek znajǳie na waszą troskę skuteczny? On się zna na sprawach ziemskich i zaziemskich, boć to i doktór, i alchimista, i astrolog, i człek, co

 ¹³ *ie z a* — uciekła. [przypis edytorski]

¹⁴*ies* — diabeł. [przypis edytorski]

¹⁵Forma czasu zaprzeszłego. Czas ten nie est używany we współczesne polszczyźnie. [przypis edytorski] ¹⁶*a a* — dawny radca mie ski. Stanowisko to piastowane było w danwe Polsce. [przypis edytorski]



|  |  |
| --- | --- |
| po uszy w księgach starych sieǳi. Ba! Skrzydła ponoć zmajstrował i nocami na nich po powietrzu lata.— Walcie do czarownika! Walcie do czarownika! — wrzasnęła gromada. — On pouczy, on dopomoże! Dobra rada! Przednia!— Najprzedniejsza — przytaknął strapiony roǳic. — Bóg wam zapłać, Strubiczu! Chodź, żono, iǳiemy na Piwną.— I ja z wami — imć pan Strubicz na to — a nuż się jeszcze uda Maćka i Halszkę odszukać.— Dajże to, Matko Boska Częstochowska — zapłakała Ostrożyna. — Niech się tak stanie!Na Piwnej, na czwartym piętrze pod samym dachem wysokiego narożnego domu, mieszkał sławny i uczony doktór, dominus Hermenegildus Fabuła, znany nawet na dworze króla jegomości. |  |
| Nie był to, prawdę mówiąc, czarownik, tylko wielce znamienity lekarz i człek we wszystkich kunsztach¹⁷ i naukach wyzwolonych doświadczony. Jeno gmin warszawski, wiǳąc jego prawie cudowne kuracje, i obserwując z daleka tajemnicze praktyki, mienił go, w prostocie swojej, być czarnoksiężnikiem, z mocami nadprzyroǳonymi mającym ścisłą styczność. A że pan rajca Strubicz czarownikiem go nazywał, to jeno tak tylko, aby ludowi na poprzek nie stawać, który lubi rzeczy niezrozumiałe i rad ku cudowności się obraca, samą mądrość luǳką lekce sobie ważąc i zgoła postponując.W obszernej komnacie o łukowym sklepieniu sieǳiał za wielkim stołem, zawalonym księgami i pergaminami, człeczek maleńki, chuderlawy, wyschły, o licu pożółkłym, pomarszczonym, jak pieczone jabłko; ale źrenice w tej twarzy, ogromne, czarne, żarzyły się, jak pochodnie gorejące, a taką miały moc i potęgę te oczy, że, gdyś w nie spojrzał, zdawało ci się, iż na wielkoluda spozierasz, i mimowiednie buǳiły się w tobie lęk, poǳiw i uszanowanie dla tej niepozornej , a jednak imponującej postaci.U sufitu komnaty wisiał wypchany krokodylek łokciowy¹⁸, w kącie stała mumia egipska, na oknie w słojach rozlicznych pławiły się ropuchy, węże, padalce, robaki jakieś zamorskie. A wszęǳie, gǳieś spojrzał, księgi, księgi i księgi.Gdy mistrz Ostroga z żoną i z imć panem rajcą Strubiczem weszli do doktora Fabuli, ów podniósł oczy od foliantu¹⁹, w którym coś czytał z ciekawością i zadowoleniem ogromnym, bo aż się uśmiechał radośnie, ale, zobaczywszy wchoǳących, wstał, obciągnął swoją czarną szatę, co mu się pofałdowała na ciele, i spytał:— A czego to wać państwo życzycie sobie ode mnie?Tedy Ostrożyna z płaczem a narzekaniem wielkim opowieǳiała całą sprawę, a gdy skończyła i chlipiąc błagać poczęła o pomoc i ratunek, dominus Hermenegildus Fabuła tak rzecze: | Czary, Lud |
| — Wiem ci ja dobrze, co było przyczyną zaguby waszmość państwa ǳiatek, bom właśnie w tej księǳe o podobnych przypadkach traktat wertował. Oto, ani mniej, ani więcej, tylko stwór najniebezpieczniejszy i najszkodliwszy na ziemi, który się zwie: bazyliszek.— Bazyliszek? — zakrzyknęli w popłochu Strubicz, Ostroga i Ostrożyna — bazyliszek! Tedy już nadaremne wszystkie trudy i starania nasze!— Z trwogi waszej wnoszę, iż wać państwu wiadoma jest natura owego zwierza i to, iż on wzrokiem swoim wszelkie żyjące stworzenia zabija. Alić Bóg jest wielki i naǳiei do ostatka tracić człekowi wierzącemu nie wolno. A choćby wreszcie i pomarły już ǳiateczki wasze, toć trzeba je wydobyć z piwnicy, aby przecie pogrzeb chrześcijański mieć mogły; bazyliszka zasię ubić należy koniecznie, boć nie jedna jeszcze ofiara od ślepiów jego zabójczych na śmierć pewną pójǳie, ani chybi! Póki ta bestia przeklęta żywie, Warszawa spokojności nie zazna!— Jakże to uczynić, mężu uczony? — zapyta Strubicz.— Jakże to uczynić? Jakże to uczynić? — zawołają Ostroga i Ostrożyna.— Jest sposób — odpowie Hermenegildus Fabuła — jest taki sposób, jeno tak trudny i niebezpieczny, że nie wiem, azali się znajǳie kto w tym tu mieście, co by się ważył na takie przedsięwzięcie. | Książka |

 ¹⁷*k sz* — sztuka, umie ętność. [przypis edytorski]

 ¹⁸*k k ylek k i y* — krokodylek długi na łokieć, t . ok.  cm. [przypis edytorski]

¹⁹*lia* — daw. księga. [przypis edytorski]



Oto trzeba, aby do lochu zeszedł człowiek, całkowicie obwieszony zwierciadłami; gdy bazyliszek spojrzy w nie i siebie zobaczy, sam się własnym wzrokiem zabije, a tak uwolnilibyśmy od potwora i tę Warszawę umiłowaną i całą przesławną Rzeczpospolitą.

— Sposób jest dobry i pewny, ani słowa! — wyrzeknie Strubicz. — Ale skąd wziąć takiego śmiałka, co zdrową głowę pod ewangelię położy²⁰?

— Tak, tak — zajęknie Ostrożyna — nie ma już takich luǳi na świecie!

Nagle do komnaty Fabuli dobiegł ponury głos farnego²¹ ǳwonu, a w ślad za tym przejmującym dźwiękiem, ogromny gwar tysiącznego tłumu. Imć pan Strubicz wychylił się przez okno.

— Mam! mam! — zakrzyknął radośnie. — Mam takiego człowieka! Kumie! Kumo!

Za mną!

— Bóg zapłać, uczony mężu! Bóg zapłać! I już ich nie było w komnacie.

## SKAZANIEC

Od Rynku w stronę Piekiełka zdążał ponury, choć jaskrawy orszak. Przodem szła straż miejska z halabardami, za nimi „bracia pokutnicy” w długich ciemnych opończach, z twarzami osłoniętymi roǳajem maski sukiennej, w której wycięto jedynie otwory na oczy; dalej dostojnie stąpał imćpan pisarz miejski ze zwojem pergaminu w ręku, za panem pisarzem asysta z urzędników sądowych złożona, wreszcie dwie główne osoby pochodu: skazaniec, niemłody już, brodaty mężczyzna w nęǳnej oǳieży, ze związanymi w tyle rękoma, i kat, olbrzymi, rozrosły drągal, cały w czerwieni, z potężnym błyszczącym mieczem i z dwoma butlami, czyli pachołkami. Po bokach, z przodu i z tyłu orszaku cisnęło się mrowie nieprzeliczone warszawskiego pospólstwa, uliczników, urwisów i wszelakiej hałastry, ciekawej okropnego widowiska.

Już pochód stanął na placyku, Piekiełkiem zwanym, gǳie pośrodku, na czarnym suknie, widniał pieniek, miejsce stracenia; już pan pisarz miejski odczytał nosowym głosem wyrok, brzmiący: iż Jan Ślązak, krawczyk wędrowny, oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, na gardle ma być ukaran i mieczem ścięty; już skazaniec klęknął przy pieńku i głowę na nim położył, a kat mieczem straszliwym błysnął pod słońce, gdy nagle… gdy nagle imćpan Ezechiel Strubicz z mistrzem Ostrogą przedarł się przez stłoczone tłumy gawieǳi i tubalnym basem zakrzyknął:

— Stójcie! Stójcie!

Kat miecz wzniesiony opuścił, skazaniec zadygotał całym ciałem, a pan pisarz miejski, zdjęte dopiero co okulary z powrotem na nos sążnisty założywszy, niechętnie spojrzał na rajcę, oczekując wyjaśnienia sprawy.

A imćpan Strubicz rozpoczął przemowę:

— Po pierwsze: w imieniu szlachetnego burmistrza miasta starej Warszawy rozkazuję wstrzymać egzekucję! Po drugie: natychmiast rozwiązać winowajcę! Po trzecie: zbliż się, Janie Ślązaku!

Zapytuję ciebie, Janie Ślązaku, któryś jest na śmierć osąǳon i nic cię od niej ocalić nie może, azalisz zgaǳasz się znijść do lochu, gǳie przebywa bazyliszek, i zabić oną bestię zjadliwą?

Jeżeli to uczynisz — wolny bęǳiesz! To ci przez moje usta sam szlachetny burmistrz i cała wysoka rada miejska solennie obiecuje i przyrzeka.

Zdumiał się wielce imć pan pisarz miejski, zdumiało się pospólstwo, a skazaniec, wznosząc ǳiękczynnie oczy ku niebiosom, odpowie:

— Zgaǳam się, przezacny panie, zgaǳam się tym łacnie, iż — Bóg mi świadkiem — niewinien jestem zarzucanej mi zbrodni i tak myślę, że łaska Pana Jezusowa bęǳie ze mną.

Tedy nie mieszkając wiele, powiedli Strubicz i Ostroga skazańca na Ratusz, skąd, obwieszonego zwierciadłami, zaprowaǳono na Krzywe Koło i kazano mu znijść do poǳiemi. Burmistrz, rajce, ławnicy i setki ludu czekały na ulicy, a przed wszystkimi, wpatrzeni

²⁰*z e a eli y* — będąc zdrowym zdecydować się na śmierć, czy choćby zaryzykować życie. [przypis edytorski]

²¹*a a* — dwa. kościół prafialny. [przypis edytorski]



chciwie w otwór piwniczny, stali mistrz Ostroga, pani Ostrożyna i dobry rajca Strubicz. Upłynęła chwila — i oto w lochu rozległ się głos przeraźliwy: coś, jakby chrypliwe pianie koguta, jakby świszczący syk węża, jakby śmiech diabelski, a takie to było okropne, że zgromaǳonym aż ciarki przeleciały po grzbietach i włosy dębem na głowach stanęły.

— Zabity! Zabity! — zadźwięczał donośnie głos Jana Ślązaka.

— Zabity! — zahuczał tłum. — Bazyliszek zabity! — wichrem pomknęła radosna wieść na Rynek, na Świętojańską, na Piwną, na Brzozową, na oba Dunaje: Szeroki i Wąski, i na całą starą Warszawę.

A na schodach piwnicznych ukazała się postać cała w lustrach, niosąca na ostro zakończonym drągu straszliwego potwora.

Porwał go kat z rąk ǳielnego Ślązaka i na Piekiełku, na stosie ognistym, ku uciesze tysiącznego ludu, na popiół spalił.

Stało się wszystko tak, jak przepowieǳiał mądry doktór Hermenegildus Fabuła: bazyliszek spojrzał w zwierciadło i sam się wzrokiem swym jadowitym zatruł i zabił.

Ale pani Ostrożyna, mistrz Ostroga i rajca Strubicz, wziąwszy zapaloną pochodnię, pędem pobiegli do lochu.

— Maćku! Halszko! — wołała matka. — Maćku! Halszko! — wołał ojciec. — Zaliście żywi? Ozwijcie się! Gǳie wy? Gǳie wy?

— My tu, matusiu! My tu, tatuńciu!

I z ukrycia swego, zza wielkich drzwi, o mur prastary opartych, wybiegły ǳieci i zdrowe, choć pobladłe jeszcze ze strachu, rzuciły się w objęcia roǳiców. O, jakaż radość! O, jakież szczęście! Uściskom i pocałunkom końca nie było, aż imćpan rajca Strubicz, choć taki stary i mądry, płakał jak bóbr i od płaczu się zanosił.

Tak się skończyła przygoda z bazyliszkiem. Przypłacili ją życiem nieposłuszny Waluś i stara, poczciwa Agata. Zwłoki ich, wydobyte z piwnicy, pochowano uroczyście, a roǳina Ostrogów nigdy o nich nie zapomniała.

Co do mężnego Jana Ślązaka, to okazało się, iż on istotnie nie był winien zabójstwa swego kamrata; ten bowiem zjawił się niebawem w Warszawie i opowieǳiał, że zabłąkawszy się w boru, przebył w nim bodaj miesiąc z górą, aż go węglarze, drzewo w lesie wypalający, przypadkiem znaleźli i do Warszawy, na dobrą drogę skierowali.

Żaden bazyliszek już się więcej w mieście nie pokazał.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej , co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać.

1. pł*atn erz* — rzemieślnik wyrabiający zbroje, hełmy itp. [przypis edytorski] [↑](#footnote-ref-1)
2. ²*kram* — stragan, stolik, z którego sprzeda e się towary. [przypis edytorski] [↑](#footnote-ref-2)
3. [↑](#footnote-ref-3)
4. ¹⁰*z* — ze ść. [przypis edytorski] [↑](#footnote-ref-4)
5. *ka* — złota moneta europe ska używana w XIX w. [przypis edytorski] [↑](#footnote-ref-5)
6. *ie* — we ście. [przypis edytorski]

 [↑](#footnote-ref-6)